

kalejdoskop

01/2026 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)





Olga Tokarczuk
na premierze spektaklu
„Prowadź swój pług
przez kości umarłych”
na podstawie jej
powieści,
Teatr im. Jaracza,
6 XII 2025



Wystawa
„Perfumeryzm”
w Kamienicy Hilarego
Majewskiego,
czynna do 15 II

Na okładce: Tomasz „Mechu” Wojciechowski, łódzki muzyk
– wywiad na str. 26
Fot. Wojciech Bryndel

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysyłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek – redaktor naczelny
Aleksandra Talaga-Nowacka

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva° Studio

Skład

Julia Szwed
Aleksandra Gruszczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13
91-336 Łódź

Nakład 1300 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?
Można zaprenumerować go w redakcji.

Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 98 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl
należy przesłać swoje dane do wysyłki
wraz z informacją, od którego numeru
ma się zacząć prenumerata.

Utopia w czasach kryzysu

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

Wirtualne życie, cudze uczucia, przeżycia wyłożone w krótkich komunikatach składają się na wyidealizowany, fałszywy obraz rzeczywistości. Mimowolnie porównujemy się z tym, jak inni mają fajnie, i czujemy się gorsi. Depresyjny charakter mediów społecznościowych, fale hejtu i agresywnych wzmożeń zatruwają zwłaszcza młode pokolenia, niemal całkowicie zassane w ślepą uliczkę wirtualnego świata. Na szczęście dobra literatura działa inaczej, choć równie często posługuje się fikcją. Książka jest przecież świadomą kreacją – autor nadaje jej formę, konstruuje bohatera, fabułę, kształtuje język, określa przebieg czasu. Czytelnik natomiast wędruje poprzez świat opowieści, współtworząc ją w wyobraźni. Doświadcza realnych przeżyć, które rozwijają osobowość, wzbogacają duchowo. Lektura jest w stanie pochłonąć jego uwagę bez reszty. Jak to się dzieje, że choć fikcyjna, literatura tworzy obraz realnego świata, tłumaczy społeczne procesy, niesie idee? Czy głęboko humanistyczna treść przetrwa w konfrontacji z bezdusznym kontentem, w coraz większym stopniu generowanym przez sztuczną inteligencję? Nadziejemy, że tak będzie, dają spotkania ludzi rozmawiających o aktualnych książkach z pisarzami, którzy kształtują naszą wyobraźnię. Toczenie rozmów szczególnej intensywności nabiera choćby podczas Festiwalu Puls Literatury, gdzie w towarzystwie koncertów, warsztatów, spektakli i wystaw stają się one inspiracją do namysłu nad współczesnym światem. A wymaga on natychmiastowej interwencji, ponieważ zmierza ku przepaści – taki m.in. wniosek płynie z ostatniego festiwalu. Czujemy, że kapitalizm znalazł się w kryzysie, ale wciąż nie wiemy, jak stworzyć lepszy świat, czym powinniśmy zastąpić rozpadający się system. Nie ma przyszłości w czasach deficytu utopii. Czyżby jedyną szansą na przetrwanie była rewolucja? ¶

Spis treści

52

10 Pracować czy nie?

Łukasz Barys

11 Czas nie płynie.

Andrzej Poniedziałski

Temat numeru:

Gdzie bije puls literatury?

14 Książka – rewolucyjny zew.

Bogdan Sobieszek

18 Literatura jest kobietą.

Paulina Ilska

21 Pamiątka po Kotarbińskim.

Maciej Świerkocki

**26 Nie mogę z mojej muzyki żyć,
ale bez niej to już w ogóle.**

Rozmowa z Tomaszem „Mechem”
Wojciechowskim

32 Nowy rozdział.

Bogdan Sobieszek

34 Artysta nie może stać w miejscu.

Rozmowa z Adamem Makowiczem

37 „Dziadek” po nowemu.

Magdalena Sasin

40 Spać pan idź.

Łukasz Maciejewski

42 Mały Indy.

Dariusz Bilski

44 Formy do przytulenia.

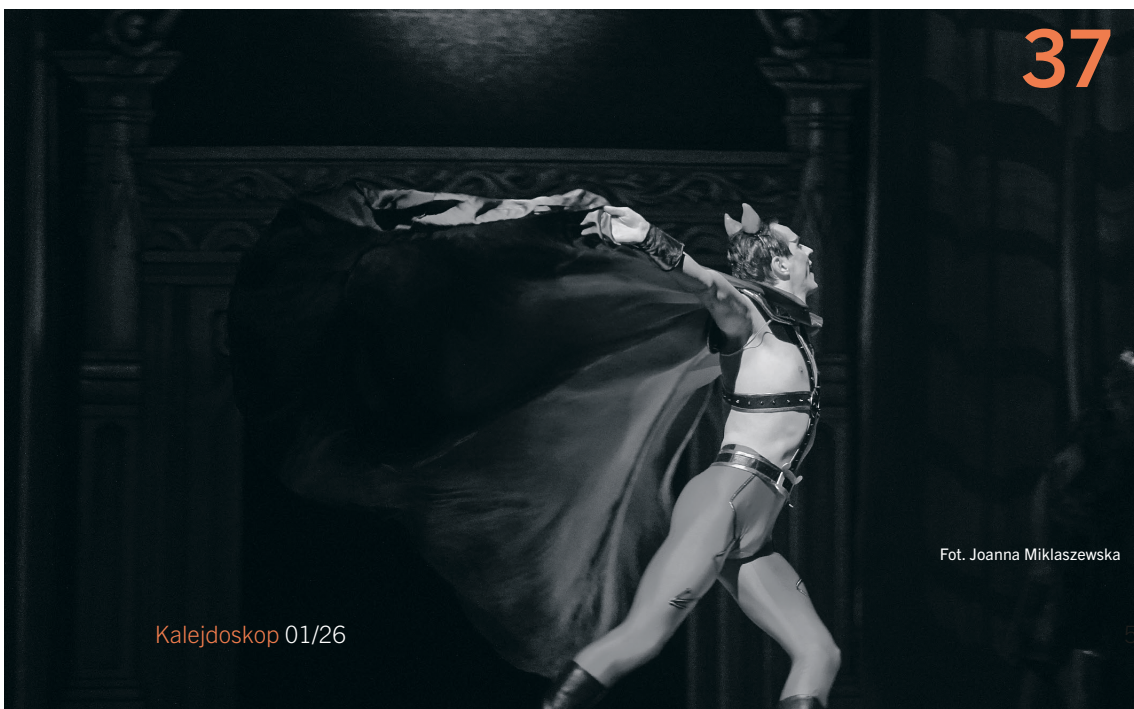
Rozmowa z Ryszardem Henrykiem
Chojnackim

Fot. Sebastian Glapiński



Fot. Piotr Powietrzyński

- 47 **Galeria Kalejdoskopu**
Ryszard Henryk Chojnacki
- 52 **Efektownie, nie efekciarsko.**
Aleksandra Talaga-Nowacka
- 55 **Perypetie z Nowym Rokiem.**
Mieczysław Kuźmicki
- 56 **Z panterą w klatce.**
Maciej Cholewiński
- 58 **Gwiazdna beletrystyka.**
Piotr Kasiński
- 60 **Boli i bije rekordy.**
Rozmowa z Agatą Turkot
i Tomaszem Schuchardtem
- 62 **Straty policzone.**
Marcin Andrzejewski
- 64 **To tylko ja.**
Piotr Grobliński
- 67 **Dodatek „Łódzkie inspiruje”**
– Wieluń
- 80 **Kalendarium**



Fot. Joanna Miklaszewska

Książka – rewolucyjny zew

Bogdan Sobieszek

Gdzie bije puls literatury? Są ważne teksty, mody literackie, niepokojące zjawiska, ale i miejsca, gdzie spotykają się ludzie i rozmawiają o książkach. Takim miejscem, okazją do spotkań i emanacją istotnych tekstów jest Festiwal Puls Literatury, którego 19. edycja odbyła się w grudniu w Łodzi.

Hasło festiwalu „Rewolucja / Obiecana” pokazuje kierunek myślenia organizatorów, czyli zespołu Domu Literatury, i kontekst wydarzeń, które znalazły się w programie. Ów kontekst naświetlają nie tylko dzieła i ich autorzy, ale także panele dyskusyjne poświęcone przemianom społecznym, kulturowym i artystycznym, wpływającym na kształt współczesnego świata. Nasza rzeczywistość znajduje się w fazie przesilenia, co do tego nie miał wątpliwości żaden z dyskutantów. Czy czeka nas rewolucja, jak będzie przebiegać i co po niej nastąpi, zastanawiali się uczestnicy panelu otwarcia „Rewolucje”: autorka kultowych komiksów Aleksandra Herzyk, społecznik Jan Śpiewak oraz historyk Jacek Stawiński. Choć rewolucje nawiedzają świat cyklicznie i dziś czujemy, że coś wisi w powietrzu, zmiany nie nadchodzą, ludzie są zdemobilizowani, zatomizowani, nie ma sugestywnej utopii, nie ma pisarzy, którzy ponieśliby idee rewolucyjne. Inicjatywę przejęli konserwatyści, którzy w Stanach Zjednoczonych z sukcesem nawołują do rewolucji à rebours, czyli powrotu do tego, co było. A światem trzeba potrząsnąć, bo

zmierza w przepaść – podkreślali uczestnicy panelu „Antropocen czy kapitałocen” (za tytułem książki pod redakcją Jasona W. Moore’a): Przemysław Wielgosz, publicysta lewicowy, redaktor naczelny polskiego wydania „Le Monde diplomatique” oraz Dariusz Gzyra, filozof, społecznik. W tej rozmowie mocno wybrzmiał postulat nowego sformułowania kategorii „my” jako grupy, do której należałyby wszystkie istoty zdolne do odczuwania.

Ciekawym przyczynkiem uzupełniającym obraz współczesności była rozmowa teoretyka kultury, profesora UJ Tomasza Majewskiego z Danielem Muzyczukiem, dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi, autorem książki „Zmierzch magów”. Rzuciła ona nieco światła na możliwe źródła dzisiejszego chaosu informacyjnego i szczególnej popularności teorii spiskowych. Genezę współczesnych fundamentalnych napięć ideologicznych Muzyczuk łączy z metamorfozą twórców wywodzących się z post-sowieckiego undergroundu lat 80. i 90.

Literatura powinna równoważyć wielość narracji, skrajną polaryzację opinii i biorącą się stąd dezorientację, brak punktów odniesienia i solidnych autorytetów, którym sprzyja przeniesienie się debaty publicznej do internetu oraz upowszechnienie sztucznej inteligencji. – Potrzebne są wielkie powieści, które mogłyby wyjaśnić świat, poukładać go – postulował Jan Śpiewak. Czy książki mają na nas wpływ i co z nami robią, zastanawiała się

uczestniczki panelu „Książki zbójce”: pisarka Małgorzata Rejmer, krytyczka literacka Anna Marchewka i kulturoznawczyni Justyna Jaworska. Rozmawiając przede wszystkim o czytaniu, przyznały, że niektóre książki działają na czytelników niezależnie od tego, że czasem nie są to dzieła zbyt wysokich lotów. Gościem festiwalu był Alberto Manguel, argentyński pisarz i intelektualista, autor m.in. „Historii czytania” czy „Pożegnania z biblioteką”, który fascynująco mówił nie tylko o tym, czym jest literatura, ale również czym jest samo czytanie. Jego książki to fascynujące opowieści o tym, jak ekskluzywną czynnością bywało czytanie w dziejach ludzkości.

Gdzie zatem bije puls literatury we współczesnym świecie? Jak mówi Marta Zdanowska z Domu Literatury, redaktorka i animatorka literatury, festiwal pokazuje rozmaite dykcje literackie – poetyckie, prozatorskie, reportażowe, obudowując to w formułę, która dowodzi, że literatura to nie tylko słowa.



Deбата „Rewolucje”
na Festiwalu
Puls Literatury 2025

Zdjęcia: Joanna Głodek

Stąd w programie poza debatami i spotkaniami autorskimi znalazły się warsztaty, spektakle, wystawy i koncerty. Rafał Gawin z Domu Literatury, poeta, krytyk i redaktor, festiwalową optykę precyzuje następująco: – Dla nas ten puls bije tam, gdzie jest, jak to fachowo pisze się we wnioskach o dofinansowanie do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, literatura o wysokich walorach artystycznych, która działa już na poziomie estetycznym, a jednocześnie coś robi w człowieku, coś robi w rzeczywistości.

Literatura jest kobietą

Paulina Ilska

Nagrodę Literacką im. Juliana Tuwima otrzymała w tym roku Weronika Kostyrko, co na pewno przyczyni się do popularyzacji wydanej przez nią książki „Róża Luksemburg. Domem moim jest cały świat”. Być może wybór wpisuje się w pewien trend – przywracania pamięci o silnych, twórczych kobietach wymazywanych ze świadomości zbiorowej z powodu lewicowych poglądów.

Nominacje do Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima, wręczanej w ramach Festiwalu Puls Literatury, potraktować można jako próbę wskazywania kierunku, przyszpilania naszej uwagi do tego, co ważne. Tradycyjnie, dzień przed przyznaniem nagrody, w Domu Literatury odbyły się spotkania z nominowanymi pisarkami: Magdaleną Grzebałkowską, Weroniką Kostyrko i Weroniką Murek. Publiczność wprawdzie nie głośnie (laureatkę wybrało jury w składzie: Grzegorz Jankowicz, Renata Lis, Magdalena Nowicka-Franczak, Marta Perchuć, Błażej Warkocki, Marta Zdanowska), ale to świetna okazja do zapoznania się z twórczością i idiolektem nominowanych. Każda z autorek zabrała nas w inną podróż. Magdalena Grzebałkowska i Weronika Kostyrko tworzą książki, bazując na tym, co naprawdę się wydarzyło. Ale to wcale nie jest takie proste. Co zrobić, gdy podczas researchu okazuje się, że 80-letni rozmówca całą tożsamość zbudował na swoim bohaterstwie, które według niego

zaczęło się w wieku lat ośmiu udziałem w ważnej akcji wojennej, a rozmówczyni wie, że to figiel pamięci? Że nikt by dziecka nie zabrał pod ostrzał i chłopiec nie mógł być uczestnikiem akurat tych wydarzeń?

Na te i inne pytania z wielkim wyczuciem, ale i poczuciem humoru odpowiadała Magdalena Grzebałkowska, autorka m.in. takich książek, jak „Dezorientacje. Biografia Konopnickiej” czy „Jak się starzeć bez godności”. Jej opowieść o własnej drodze dziennikarskiej i pisarskiej to też ciekawe świadectwo, jak zmieniały się media i wydawnicze realia w ostatnich dwóch dekadach. Weronika Kostyrko, również dziennikarka („Wysokie Obcasy”, Culture.pl) i pisarka, przedstawiła kryteria, które decydują o wyborze bohaterki jej biograficznych książek: awangardowej tancerki Poli Nireńskiej, ekonomistki, myślicielki i działaczki politycznej Róży Luksemburg czy tej, nad której biografią pracuje obecnie – Aliny Szapocznikow. Interesują ją kobiety wykluczone. Pola Nireńska to



Weronika Kostyrko,
zdobywczyni Nagrody
Literackiej im. Juliana
Tuwima

Zdjęcia: Joanna Głodek

Żydówka i lesbijka, uciekająca w czasie wojny przed faszyzmem. Róża Luksemburg, z niepełnosprawnością, źle widziana „komunistka”, nierozumiana, odsądzana od czci i wiary, niemieszcząca się w ówczesnych podziałach politycznych i społecznych. Obie to kobiety pokonujące trudności, pełne życia i wiary w przyszłość, obie zmarły tragicznie. Obecność wśród nominowanych laureatki Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej, Weroniki Murek, odczytuję jako ukłon nie tylko w stronę prozy, ale przede wszystkim dramatu, który był niemal nieobecny podczas kolejnych edycji Pulsu. Autorka ma wyjątkowy dar nie tylko pisania, ale i opowiadania na żywo historii, zestawiania zaskakujących pojęć, przenoszenia języka w inny, iskrzący wymiar. Podczas spotkania podkreślała rolę twórczej ciekawości, eksperymentowania z kolejnymi formami wyrazu – opowiadaniem, esejami, dramatami, także tworzoną wprost na teatralnej scenie, wspólnie z reżyserem i innymi twórcami. Jako absolwentka prawa zaskakująco

Pamiętka po Kotarbińskim

Maciej Świerkocki

Na szczęście pamiętek po profesorze Tadeuszu Kotarbińskim, wybitnym filozofie i logiku, przedstawicielu genialnej szkoły lwowsko-warszawskiej, nie brakuje ani historykom, ani badaczom czy kontynuatorom jego dorobku. Ani nawet zwykłym, niespecjalistycznym czytelnikom, którzy może nigdy nie interesowali się bliżej reizmem, lecz pamiętają, powiedzmy, szczerzy wspomnieniowy szkic profesora o Witkacym, zamieszczony w zredagowanej zresztą właśnie przez Kotarbińskiego legendarnej księdze pamiątkowej („Stanisław Ignacy Witkiewicz. Człowiek i twórca”), albo chociażby sam tytuł „Traktatu o dobrej robocie”, omawianego niegdyś we fragmentach w szkołach średnich.

Trochę takich pamiętek zostało nam też w Łodzi; można wręcz powiedzieć, że ich przybywa, ponieważ już od jedenastu lat Uniwersytet Łódzki organizuje niezwykle ważny społecznie, ogólnopolski i jedyny przy tym w skali kraju konkurs dla humanistów o Nagrodę im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Profesora Tadeusza Kotarbińskiego, przyznawaną za „wybitną pracę z zakresu nauk humanistycznych”. Rzucająca się w oczy, bo ciągnąca się niczym twierdzenie Gödla nazwa upamiętnia znamienitego uczonego, czyni też jednak konkurs pamiętką po nim – po jego niezbyt długiej, lecz intensywnej działalności w mieście, szczególnie na Uniwersytecie

Łódzkim, który Kotarbiński, przeniósłszy się na kilka lat do Łodzi po drugiej wojnie światowej, współorganizował i którym od 3 lipca 1945 do 31 sierpnia 1949 roku kierował jako pierwszy rektor. W Łodzi na cmentarzu ewangelickim pochowana została pierwsza żona profesora, Wanda z Baumów, a Kotarbiński w 1947 roku ożenił się powtórnie, z Janiną Kamińską, wówczas profesorką UŁ.

Należyta ranga

Patronem nagrody, ustanowionej w 2015 roku z okazji 70-lecia UŁ i przeznaczonej dla przedstawicieli humanistyki, trafnie wybrano zatem nie tylko zasłużonego uczonego, w szczególnie sposób związane go z nowo powołaną wtedy łódzką uczelnią wyższą (może nie kochał Łodzi, kochał jednak uniwersytety), ale i znakomitego humanistę. Decyzja o uczynieniu Kotarbińskiego symbolicznym opiekunem tego rodzaju wyróżnienia nobilituje je, nadając mu z góry, niejako metatekstowo, należyta rangę i powagę.

Należytej rangi i powagi przydaje nagrodzie również kapituła, złożona z eminentnych reprezentantów polskiej humanistyki. Aktualnie w skład jury wchodzi profesorki i profesorowie: Krzysztof Jasiecki (SGH, UW), Ryszard Kleszcz (UŁ), Anna Legeżyńska (UAM), Włodzimierz Nykiel (UŁ),



Tadeusz Sławek (UŚ), Krystyna Pietrych (UŁ), Rafał Stobiecki (UŁ), Małgorzata Sugiera (UJ), Rafał Matera (rektor UŁ, przewodniczący kapituły) oraz Katarzyna de Lazari-Radek (prorektor UŁ, rzeczniczka naukowa Nagrody). W XI edycji konkursu (2025) kapituła obradowała już więc w dziesięcioosobowym zespole, który zwiększył się o jednego jurora w stosunku do lat poprzednich z uwagi na coraz większą liczbę książek (średnia wynosi około 70 rocznie), zgłaszanych do oceny przez polskie instytucje naukowo-badawcze. Wcześniej członkami kapituły byli również profesorki i profesorowie: Anna Lewicka-Strzałecka (IFiS PAN), Antoni Różalski (UŁ), ksiądz Andrzej Szostek (UMCS, UW), Elżbieta Żądzińska (UŁ), Grzegorz Gazda (UŁ).

Wraz z liczbą rozpatrywanych przez kapitułę tytułów i liczbą jurorów (będącą ewenementem w tego rodzaju gremiach oceniających) zwiększa się również nagroda pieniężna dla laureatów, która urosła z początkowych 50 do 70 tysięcy złotych (poczynając od IX edycji, kiedy to nagrodami w wysokości 5 tysięcy złotych zaczęto obdarzać również nominowanych). Nie jest to powszechna praktyka w tego rodzaju konkursach. Oryginalnie wygląda też kilku-etapowa procedura wyłaniania laureata. Po wyborze spośród wszystkich nadesłanych

propozycji pięciu książek nominowanych do nagrody kapituła przed podjęciem ostatecznej decyzji zaprasza autorów na uroczysty obiad, połączony z czymś w rodzaju ustnego egzaminu albo obrony doktoratu czy habilitacji, ponieważ członkowie jury – rzecz jasna już przy kawie i deserach – zadają finalistom merytoryczne pytania dotyczące ich książek, a przepytany autor odpowiada w obecności swoich nominowanych koleżanek i kolegów, co tylko zwiększa ich stres, o czym przekonałem się na własnej skórze podczas VIII edycji. Wychodziłoby więc na to, że końcowe głosowanie przeprowadza się „na Kotarbińskim” dopiero po rozmowie z nominowanymi. Z tak osobliwą, a zarazem wnikliwą selekcją laureatów nie spotkamy się zbyt często na konkursach w Polsce – ani na świecie.

Skoro zaś już mowa o laureatach, powinniśmy wymienić również ich nazwiska, a zwłaszcza nagrodzone książki. Są to jak dotąd: 2015 – Jan Strelau „Różnice indywidualne. Historie-determinanty-zastosowania”, Wydawnictwo Naukowe Scholar; 2016 – Ewa Kołodziejczyk „Amerykańskie powojnie Czesława Miłosza”, Wydawnictwo IBL PAN; 2017 – Dorota Sajewska „Nekroperformans. Kulturowa rekonstrukcja Teatru Wielkiej Wojny”, Instytut Teatralny im. Z. Raszewskiego; 2018 – Andrzej Friszke

Bogdan Sobieszek: Solowy debiut w wieku 60 lat. Czemu tak późno? Kojarzony jesteś z takimi łódzkimi składami, jak Blitzkrieg, Jezabel Jazz, Moskwa, a ostatnio Hedone. Nie było już z kim grać?

Tomasz „Mechu” Wojciechowski: Zawsze marzyłem o tym, żeby nagrać własny materiał. Chciałem wszystko zrobić sam. Lata mijały. Kompozytorsko i instrumentalnie byłem gotowy dawno temu, ale ten projekt przerastał moje możliwości finansowe. Czas w studiu nagraniowym kosztuje. Jestem chorobliwym wręcz perfekcjonistą, więc potrzebowałbym go dużo. Czekałem, aż wreszcie świat mi pomógł – technologia tak się rozwinęła, że narzędzia do rejestracji i edycji dźwięku stały się powszechnie dostępne. Potrzebna jest tylko wiedza, jak się nimi posługiwać. Szybko ją zdobyłem dzięki wsparciu przyjaciela, Petera Guellarda vel Piotra Czystanowskiego, z którym kiedyś stworzyliśmy Blitzkrieg. Od wielu lat mieszka w Pittsburghu, ale

zдалnie objaśnił mi podstawowe sprawy. Udało się nagrać płytę – tak, jak to się dzisiaj często robi – na laptopie z niewielką liczbą urządzeń zewnętrznych.

Gdzie powstawał album?

Nagrywałem w domu, w lesie, na działce, w krzakach – dosłownie. Miksowanie zarejestrowanych ścieżek odbywało się w domu albo w studiu radiowym, gdzie pracuję.

Czyli gdzie?

W Radiu Eska. Jestem producentem dźwięków, tworzę głównie spoty reklamowe.

Tytuł płyty to „Mechu 001”. Optymistycznie zakładasz, że będzie tego dużo?

Wymyśliłem, że tytuły kolejnych moich płyt będą kombinacją tych dwóch cyfr. W wieku 60 lat uświadomiłem sobie, że najważniejsza w życiu jest konsekwencja. To jest taka moja ścieżka. Zespoły często robią podobnie – na przykład Closterkeller wydaje płyty wyłącznie pod nazwami



Koncert
z Łukaszem Klausem
podczas
Soundedit 2025

Fot. Malgorzata Wojna

kolorów. W dzisiejszym świecie na każdym kroku trzeba próbować być oryginalnym.

Płyta solowa, ale rzeczywiście sam ją zrobiłeś czy ktoś jeszcze dołożył instrument, głos albo pomógł przy produkcji?

W dwóch piosenkach zaśpiewała w chórkach koleżanka z pracy Anita Maroszek, lektorka i wokalistka. Pomogły mi też dzieci z klasy prowadzonej przez koleżankę ze studiów. Pojechałem do szkoły muzycznej w Konstantynowie, wyciągnąłem mini studio i każde dziecko raz zaśpiewało, a potem w domu posklejałem z tego chórki w utwory „Maria Anna”. Miks i produkcja to moje dzieło. Jednak kluczową sprawę, czyli mastering, powierzyłem mistrzowi w tej dziedzinie, Grzegorzowi Piwkowskiemu, który platynowych płyt ma tyle, że pewnie nie trzyma ich w domu, bo się nie mieszczą.

Finanse nie przeszkodziły?

Podstawowy warunek był taki, że muzyka musiała mu się spodobać, a poza tym potraktował mnie bardzo łagodnie.

Prawie wszystko zrobiłeś sam, ale na końcu ktoś musiał ci tę płytę wydać.

Zrobiła to wytwórnia GAD Records, a właściwie jej label New Sun. Miło było znaleźć się w towarzystwie naprawdę zacnych wykonawców. Na plakacie promującym Festiwal Soundedit i GAD Records nazwa Mechu widniała obok SBB.

Kiedy powstały pomysły piosenek?

Mam dużo piosenek w szufladzie. Wygrzebałem akurat te, trochę losowo, bo nie mogłem się zdecydować. Dlatego teraz pracuję nad kolejną płytą. I nie komponuję nowych utworów, tylko grzebię w szufladzie i ciągle znajduję rzeczy, o których dawno zapomniałem. Na „Mechu 001” jest spory rozstrzał, bo na przykład piosenka numer 5, czyli „Szept”, to jest utwór, który graliśmy jeszcze z Blitzkriegiem. W nowej wersji zachowałem właściwie tylko riff,

napisałem też nowy tekst. A utwór trzeci – „Czarne wygrywa” – napisałem, gdy płyta była już właściwie gotowa. Wyszła trochę za krótka, więc żeby trwała nieco ponad trzydzieści minut, trzeba było coś dodać. Wszystkie inne piosenki powstały gdzieś po drodze.

Trzymasz je rzeczywiście w szufladzie, spisane na kartkach, czy twoja szuflada to folder w komputerze?

Piosenki przechowuję w komputerze. Część była w głowie – te, które powstały w czasach, kiedy nie miałem ich jak zapisać. Ostatecznie wszystko przeniosłem do komputera – tu mam pliki i foldery. Mam też plan, już powstaje „Mechu 010”.

Co się dzieje z płytą? Trzeba ją przecież puszczać w radiu, grać na koncertach. Ktoś cię w tym wspiera?

GAD Records współpracuje z firmą Cantara Music i to oni mi załatwiają wywiady w stacjach radiowych. Nie wiedziałem, że to jest taki bogaty świat. Kiedy zaczynałem grać, były cztery programy Polskiego Radia. Teraz jest ich mnóstwo, a część dużych rozgłośni działa tylko w internecie. Między innymi udzielałem wywiadu dla radia w Chicago. Nie mam jeszcze planu koncertów, prace trwają. Materiał z płyty zagrałem raz na Soundedit w duecie z perkusistą Łukaszem Klausem.

Dlaczego nie pomyślałeś o większym składzie z basistą i klawiszowcem, bo przecież te instrumenty też słychać na „Mechu 001”?

Dzisiaj używanie klawiszy z komputera podczas koncertów jest tak częste, że nikogo to nie dziwi. Ja poszedłem dalej i zagrałem tylko z perkusistą. Duety – czasem bardzo dziwne – są modne, na przykład basista i perkusista, klawiszowiec i gitarzysta. Pomyślałem, że gitarzysty z perkusistą jeszcze nie było. Chciałem być oryginalny.

Boli i bije rekordy

Dwa miliony widzów po miesiącu od premiery – „Dom dobry” to najchętniej oglądany polski film w kinach w 2025 roku. Wojciech Smarzowski od lat z różnych perspektyw przygląda się kondycji polskiego społeczeństwa, dobitnie i bez półśrodków – obnażając jego najczarniejsze strony. Tym razem opowiada historię Goški, która szukając miłości, staje się ofiarą przemocy, na którą nikt nie potrafi właściwie i na czas zareagować. Rozmawiamy z odtwórcami głównych ról: Agatą Turkot i Tomaszem Schuchardtem.

Agata Gwizdała-Malik: Wojciech Smarzowski scenariusz „Domu dobrego” pisał z myślą o tym, że to właśnie ty, Agato, zagrasz główną rolę żeńską. Obsada tej męskiej miała być z tobą konsultowana. Jak to wyglądało?

Agata Turkot: Pracowaliśmy razem przy „Weselu” i Wojtek zaprosił mnie do kolejnego filmu. A potem wspólnie szukaliśmy kogoś, kto zagra Grześkę. Byli różni wspaniali aktorzy, ale Tomek z różnych względów okazał się najlepszym wyborem i jest ze mną, z czego się bardzo cieszę. Prawda, Tomku, że ty też się cieszysz?

Tomasz Schuchardt: Niezwykle.

Ciesz wasze spotkanie na planie, ale z jakimi emocjami podszedłeś do zagrania tak skrajnie złego bohatera? Potraktowałeś to jak wyzwanie?

TS: Nie jest to wymarzona postać, ale ma bardzo ważną funkcję. To dla mnie najważniejsze, czy bohater ma jakieś znaczenie, jaki jest jego cel i co może wnieść do filmu.

Pisząc scenariusz, Smarzowski opierał się na konkretnych historiach, artykułach, książkach. To była szczegółowa dokumentacja. Czy wy również konfrontowaliście się z autentycznymi relacjami?

AT: Ja bardzo dużo czytałam. Książek, artykułów. Ale przede wszystkim spotykałam się z kobietami, które doświadczyły przemocy domowej. Obserwowałam grupy wsparcia, więc mogłam słuchać ich opowieści i w ogóle być z nimi. Później też z nimi rozmawiałam. To był fundament, coś absolutnie najważniejszego podczas przygotowywania się do tej roli.

TS: Artykuły na temat przemocy domowej do mnie docierały, bo codziennie rano czytam gazety. Pochodzę z miejscowości, gdzie w wielu domach była przemoc, więc byłam też obserwatorem. Podczas przygotowań do filmu nie spotykałem się z oprawcami – po pierwsze wątpię, żeby któryś chciał ze mną porozmawiać, a po drugie w ogóle mnie nie interesuje ten typ człowieka. Jestem aktorem, mogę to zagrać.

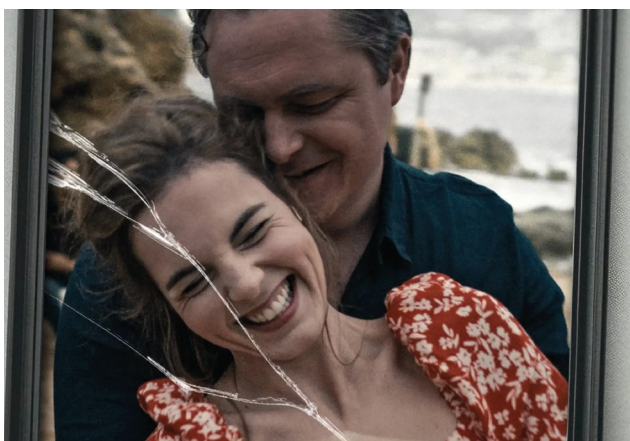
W którym momencie uświadomiliście sobie, jak mocny w przekazie będzie to film? Według niektórych za mocny.

AT: Ten film nie jest za mocny. Wiemy, jak wyglądał scenariusz. Tu są wybrane tylko kilkusekundowe fragmenty ze scen, które kręciliśmy jako pełne sekwencje. Ostatecznie do filmu weszły tylko te fragmenty, które najbardziej służą historii i w najlepszy sposób ją przedstawiają i dopełniają. Od początku mieliśmy świadomość, że film będzie mocny i odważny, ale chcieliśmy

być uczciwi, dlatego pokazujemy sytuacje przemocowe takimi, jakie one są. Nic tu nie jest wymyślone. Wszystkie historie, które pokazujemy, wydarzyły się naprawdę.

Trzeba było postawić gdzieś granicę? Reżyser ją stawiał?

TS: Co masz na myśli, mówiąc granica? Bo jeżeli chodzi o granicę aktor-aktor i przekraczanie jej, to nie ma możliwości ani chęci, ani przyzwolenia na taką sytuację.



Kadr z filmu „Dom dobry”, na zdjęciu bohaterowie grani przez Agatę Turkot i Tomasza Schuchardta

Myślę raczej o kreowaniu postaci oprawcy, jej dosadności.

TS: Pewnego rodzaju ograniczeniem jest scenariusz. Historie są prawdziwe, więc skupialiśmy się na realizmie scen. Tam, gdzie musiało być mocno, to mocno jest. Ale też nie wydaje mi się, żeby jakkolwiek sytuacja była przesadzona. Kto w życiu miał do czynienia z przemocą, obserwował ją chociażby na ulicy, a ja obserwowałem, to widział gorsze rzeczy niż sceny w naszym filmie. Działa tu jednak ciekawy mechanizm. Ostatnio wiele mówi się o ludziach,

którzy wręcz karmią się oglądaniem przemocy. Wykupują dostępny do streamingów prezentujących walki czy tym podobne absurdalne rzeczy oparte na przemoc. Film dotyka sedna tych postaw i przemoc nie jest tu ubrana w dziwny, łatwy blichtr, tylko jest po prostu prawdą. Może to mierzi, boli tych, którzy twierdzą, że coś jest za mocne.

Wyobrażam sobie, że jednym z priorytetów było stworzenie komfortowych warunków do pracy na planie, szczególnie ze względu na rolę Agaty. Jak to wyglądało?

AT: Ekipa była bardzo okrojona. Kamere obsługiwała dziewczyna w moim wieku, co też było dla mnie wspaniałe. Miałam poczucie, że wszyscy byli na planie, bo chcieli tam być i chcieli razem z nami opowiedzieć tę historię. Panowała cisza, spokój, skupienie i wszyscy byliśmy wsparciem dla siebie nawzajem, zwłaszcza w cięższych chwilach. To było piękne i budujące. Tak sobie teraz myślę, że tylko w takich warunkach można było taką historię przeprowadzić, a potem z niej wyjść. Nerozbitym, nierozczłonkowanym.

Jaką misję ma do spełnienia ten film? Może sprawić, że ktoś zareaguje na czas?

TS: Jedynym powodem, dla którego przyjąłem rolę absolutnego potwora, kogoś, kogo nie da się obronić, jest właśnie wiara, że ten film ma również funkcję społeczną. Dlatego bardzo bym chciał, żeby „Dom dobry”, mimo że trudny i niewygodny, to jednak dotykał i otwierał oczy. Odbiór widzów świadczy, że właśnie tak się dzieje.

AT: Wzięliśmy udział w tym projekcie nie tylko po to, żeby pograć ze sobą, ale żeby spróbować coś zmienić. Żeby mówić, krzyczeć o problemie, który jest szalenie ważny, powszechny, a właściwie wciąż pozostaje tematem tabu. Tylko jeśli będziem o nim mówić, uda się komuś pomóc. ¶